Nr. 31. We Lwowie dnia 2. sierpnia 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Zwrot ku scholastyce metafizycznej.

(Henryk Struve. Wstęp krytyczny do filozofji. Warszawa 1896 r.).

Dzieło p. H. Struvego, wydane świeżo z zapomogi kasy imienia Mianowskiego, imponuje swemi rozmiarami. Jestto książka formatu wielkiej osemki o siedmiuset stronicach przeszło, z których większa część zadrukowana jest petitem. Dzieła takiej wielkości i to z zakresu filozofji, która się nie cieszy u nas wielkiem powodzeniem, rzadkiem są zjawiskiem w naszej literaturze. Nic więc dziwnego, że jego pojawienie się zostało powitanem w Warszawie tylu hymnami pochwalnemi. Nie chcę przez to twierdzić, jakoby jedyną przyczyną tych hymnów było wrażenie, samą tylko objętością dzieła wywołane. W pewnej części mogą one pochodzić z głębszego źródła, a mianowicie z nastroju umysłowego, jaki ostatniemi czasy coraz wyraźniej objawia się w naszem społeczeństwie — nastroju, który zostaje w bliskiem pokrewieństwie z wyznawaną przez naszego autora doktryną. Głównemi cechami tego nastroju jest pewien rodzaj apatji, czującej wstręt do wszystkiego, co wymaga wysiłku, wytrwałości, i dla tego chętnie godzącej się z obecnym stanem rzeczy, pomimo wszystkich jego niedogodności, które zeznaje. Takim jest właśnie i charakter, znamianujący doktrynę, której gorliwym apostołem u nas jest profesor H. Struve. Doktryną tą jest tak zwany idealny realizm. P. Struve chce w nas wmówić, że jest ona czysto narodową, chociaż wiadomo, że powstała w Niemczech i to wtedy, kiedy filozofja niemiecka po upadku heglowskiego systematu straciła grunt pod sobą i, nie wiedząc, czego się trzymać i w jakim kroczyć kierunku, chwytała się na oślep pierwszej lepszej wskazówki, jaka się jej wśród bezdroża ukazała.

Czemże jest ten idealny realizm? Wnosząc z jego nazwy, możnaby myśleć, że istotę jego stanowi dążność do pogodzenia wiedzy doświadczalnej z zasadniczem wymaganiem rozumu, który we wszystkiem doszukuje się jedności, że słowem chodzi mu o syntezę wiedzy, jak ona się przedstawia w ostatnich wynikach umiejętności, badających prawidłowy przebieg zjawisk fizycznych i duchowych. Otóż domysł taki byłby zgoła mylnym. Wiedza przedmiotowa wogóle o tyle go tylko obchodzi, o ile tego wymagają metafizyczne zagadnienia, któremi on głównie się zajmuje i które bądź co bądź zostają w pewnym stosunku do świata konkretnego. W każdym razie nie wysila się on na jakieś samodzielne pomysły, skierowujące myśl spekulacyjną na nowe tory, otwierające przed nią nieznane dotąd sfery, jakto się działo w najszczęśliwszych czasach, kiedy metafizyka uchodziła za najwyższą mądrość i umiał pozyskiwać dla siebie genjalne umysły. W pokorze ducha i z godną pochwały skromnością ogranicza się on do ekletycznego zestawiania cudzych pomysłów, jakich mu szczodrze dostarczają dzieje filozofji powszechnej, w których każdy może znaleść takie odpowiedzi na obchodzące go pytania, jakich sam zapragnie. Zestawianie zapożyczonych pomysłów dokonywa on na podstawie zasady, która jest jego niezaprzeczoną własnością, jeżeli nie pod względem treści, to przynajmniej formy, w jakiej ona u niego występuje. Jest nią p a r a l e l i z m p o d m i o t o w y c h p r a w m y ś l i i p r z e d m i o t o w y c h p r a w b y t u. Opierając się na tej zasadzie, wybiera on z historji filozofji to, co do niej najbardziej przystaje i zachodzące między różnemi zapatrywaniami sprzeczności usuwa starannie za pomocą krytyki swego rodzaju, dla której ostateczną instancją jest teorja poznania, będąca nie czem innem, jak rozwinięciem właśnie powyższej zasady. W ten to sposób, starając się pogodzić dwa przeciwne kierunki myślenia: idealistyczny i rea-

listyczny, usprawiedliwia on poniekąd swą nazwę — idealnego realizmu. Nazwa ta należy mu się słusznie. Jest on bowiem rzeczywiście realizmem idealnym, w którym pierwiastek konkretny przemieniony został w coś niepochwytnego, stał się ideą, wymagającą dla swego zrozumienia szczególnej jakiejś władzy, jakiej zwykli śmiertelnicy nie posiadają.

Wydając swe dzieło, kierował się p. Struve tą myślą, że wtajemniczywszy czytelnika w główne zadania idealnego realizmu, przekona go o zbawienności jego dążeń i tem zachęci do samodzielnej nad nim pracy. Czy nadzieje autora spełnią się, przyszłość to okaże. Cobądź się stanie, ma ono tę wartość, że dotyka pytań, o których każdy, co zamyśla zająć się filozofją, musi sobie dokładną zdać sprawę. Prawda, że pytania te są rozważane ze stanowiska, właściwego autorowi; starając się atoli krytycznie uzasadnić swe odpowiedzi na nie, potrąca, lubo pobieżnie i nie zawsze bezstronnie, i przeciwne im zapatrywania i w ten sposób daje możność wyrobienia sobie mniemania niezależnego.

Pytania, nad któremi autor w swym wstępie zastanawia się, są następujące: Czem jest filozofja? W jakim stosunku znajduje się filozofja do reszty objawów życia umysłowego? Jaka powinna być metoda badań filozoficznych? Jakie właściwości przedstawia umysł, poświęcający się samodzielnej pracy nad rozwiązywaniem zadań filozoficznych? Każdemu z tych pytań poświęcona jest oddzielna część dzieła, w której znajdujemy nie same tylko wywody autora, do najdrobniejszych szczegółów sięgające, ale nadto bogaty materjał bibljograficzny, odnoszący się do poruszonych kwestyj, oraz wskazówki, co każde z przytoczonych dzieł zawiera w sobie ważniejszego.

Wdawać się w szczegółowy rozbiór dzieła pr. Struvego nie mogę. Pociągnęłoby to za sobą niepomierne rozszerzenie niniejszego sprawozdania. Ograniczam się tu do kilku tylko punktów, takich mianowicie, które najzupełniej wystarczają do scharakteryzowania tak zajętego przez autora stanowiska, jako też metody, jakiej używa w traktowaniu rzeczy.

W pierwszym rzędzie zastanawia się autor nad tem, co to jest filozofia? Ponieważ według jego mniemania filozofja, a metafizyka jest jednem i tem samem, dla tego stara się on przedewszystkiem obronić metafizykę od zarzutów, jakie jej robią. W swej obronie, która nic nowego nie zawiera, kładzie on główny nacisk na zdania i opinje w tym przedmiocie ustalonych powag naukowych, uznających jej potrzebę. Obrona z tego stanowiska nie jest trudna. Jak długo będą ludzie czuć potrzebę sięgania myślą poza granice, jakie jej przyrodzone warunki poznania zakreślają, tak długo metafizyka będzie miała rację bytu. Nie tyle tu jednakże chodzi o uznanie jej potrzeby, ile o wyznaczenie stanowiska, jakie jej się należy wobec wiedzy. Czy ma ona być rzeczywiście słońcem, około którego obracać się muszą wszystkie gałęzie wiedzy, jako jej satelity, i od niej zapożyczać światło i ciepło, czy przeciwnie ma ona być tylko zogniskowaniem promieni, które mają swe źródło w oddzielnych gałęziach wiedzy? Autor naturalnie uważa metafizykę za naukę, stojącą nad wszystkiemi innemi, chociaż przyznaje, że ma ona charakter czysto podmiotowy, nie zgadza się jednak ze zdaniem tych, którzy jej odmawiają z tego powodu znaczenia naukowego i zaliczają ją do poezji swego rodzaju, jako utworu, w którym główną rolę odgrywają fantazja i uczucie. Broniąc jednakże jej naukowości, jednocześnie odróżnia ją od nauki, różnicę tę upatrując w tem, że gdy nauki przyjmują swe wymagalniki bez dowodów, to filozofja przeciwnie wszystkie swe założenia i twierdzenia dowodzi i usprawiedliwia. Nie zastanawiam się tym razem, czy rzeczywiście tę różnicę można uznać za słuszną. Zwrócę tylko uwagę na to, że jeżeli metafizyka nie jest ani nauką, ani poezją, w takim razie — jest ona chyba czemś w rodzaju teologji, która będąc wyjaśnieniem dogmatów religijnych, z wiedzą ludzką nie ma nic wspólnego i nauką we właściwem znaczeniu być nie może.

Pr. Struve, powołując się w swej obronie metafizyki na świadectwo powag naukowych, udziela także głosu znanemu przeciwnikowi metafizyki w tem znaczeniu, jakie jej autor nadaje, H. G. Lewesowi Lewes najdokładniej odróżnia metafizykę od metempiryki, powiadając, że pierwszej zadaniem jest wyjaśnienie, jak się coś dzieje w rzeczywistości, druga zaś usiłuje wytłómaczyć, dla czego tak, a nie inaczej sie dzieje. Przedmiotem więc pierwszej są teorje i hipotezy, dotyczące zjawisk fizycznych i duchowych, przedmiotem zaś drugiej — czynniki pozaświatowe, które są pierwszą przyczyną i ostatecznym celem owych zjawisk. Otóż, ponieważ rozum ludzki nic wiedzieć nie może ani o pierwszych przyczynach, ani o ostatecznych celach rzeczy, przeto metempiryka ze wszystkiemi swemi twierdzeniami musi być wykreślona z szeregu umiejętności, jako wytwor umysłu, pozbawiony wszelkiej podstawy realnej. Jak wobec tak kategorycznego oświadczenia angielskiego filozofa mógł pr. Struve zrobić zeń nawróconego obrońcę metafizyki w tem znaczeniu, jakie jej przyznaje nasz autor — pozostaje dla mnie zagadką, nad którą bliżej nie chcę się zastanawiać

Jak wyżej wspomniałem, upatruje autor różnicę między filozofją, a nauką w tem, że gdy ta przyjmuje bez dowodu swe wymagalniki, to tamta wszystkie swe założenia stara się udowodnić. Czy rzeczywiście ma się rzecz w ten sposób? Zachodzi tu najprzód pytanie, czy wszystko to, co uznajemy za prawdę, daje się dowieść? czy pomiędzy uznawanemi przez nas prawdami nie znajdują się takie, które opierają się bądź na bezpośredniem przeświadczeniu, jako przekonania

czysto podmiotowe, bądź na tem, że wystarczają najzupełniej do wytłómaczenia znanych nam faktów i są indukcyjnym wnioskiem opartym na uogólnieniu owych faktów? Przekonano się już dzisiaj ostatecznie, że dowodzenie przedmiotowości świata zewnętrznego jest próbą nieudałą, do niczego nie wiodącą. Kto nie wierzy w takie prawdy, tego żadnem rozumowaniem przekonać o nich niepodobna, kto zaś w nie wierzy, dla tego są one nie tylko zbyteczne, ale szkodliwe, będąc bowiem prostem kręceniem się w kółko, zdradzają swą nieudolność i samą sprawę bronioną podają w wątpliwość. Tak samo nie mogą być dowiedzione rozumowo prawdy indukcyjne. Prawdziwość ich polega na ich zgodności z faktami. Jeżeli np. fizyk przyjmuje bez dowodu zasadę stałości materji i energji, to tak samo autor postępuje, uznając rzeczywistość świata zewnętrznego, oraz prawdziwość zasady, podług której prawa myśli są równoległe do praw bytu. O udowodnienie tych prawd, które mu służą za punkt wyjścia i podstawę dla jego wywodów, nie troszczy się on wcale — i słusznie robi, gdyż żadne w tej mierze usiłowanie na nic by się nie przydało, bowiem jedynem udowodnieniem tego rodzaju prawd mogą być tylko ostateczne ich wyniki i ich zgodność z doświadczeniem. Zasada stałości materji i energji rozumowo nie daje się dowieść, znajduje ona przecież potwierdzenie siebie w rezultatach, do jakich dzięki jej dotarły nauki przyrodnicze — i nareszcie w tem, że bez niej o wyjaśnieniu zjawisk fizycznych mowy byćby nie mogło. Czy można coś podobnego powiedziec o przyjętej na wiarę przez autora zasadzie równoległości praw myśli i bytu? Bynajmniej! Potrzebuje ona dowodu, gdyż sprawa poznania nie potwierdza jej wcale i wyniki, do jakich ona prowadzi, są czysto fantazyjne. Takim jest przedewszystkiem antropomorfizacja przyrody.

(Dok nast.). *Władysław Kozłowski.*

Moi przyjaciele za-uralscy.

Z notatek wygnańca.

(Dokończenie).

Odtąd regulanie parę razy w tygodniu, odwiedzał nas Piotr Piotrowicz. W krótkim czasie, ten brutalny gwałtownik, ten szczery temperament dławiony jakąś bezwiedną tęsknotą i potrzebą czynnego życia, przywiązał się do nas całą mocą swego wybujałego ducha. Widziano go z nami wszędzie: tam gdzie nas proszono, chodził i on — innych stosunków zaniechał. W obejściu się z nami był delikatnym jak kobieta, a czułym i troskliwym, jak matka.. Tak był nam oddany, że gotów był wszelkie najniemożliwsze życzenia nasze spełnić bez wahania.

Kiedyś, o jednym z urzędników miejscowych, znanym prześladowcy i dręczycielu Baszkirów, powiedziałem, wobec Nielubina, że mi się z miny bardzo niepodoba.

— Chcesz — odparł mi na to gwałtownie — to go zaraz przez łeb nahajką zdzielę! Jej Bogu! — ręki nawet swojej nie pożałuję — chociaż to hycel! — »I byłby z pewnością ręki swej niepożałował« — gdyby nie prośby moje i perswazje, że antypatji mojej tak daleko nie posuwam. — Tak mu jednak głęboko słowa moje zapadły w duszę, że wszelkimi sposobami, starał się wspomnianego urzędnika prowokować, byle mieć pretekst; uspokoił się dopiero wtedy, gdy mu kiedyś, przy kartach, cisnął w twarz talerz, pełen pierogów z mięsem. Działo się to w moich oczach! Strofowałem go później za to surowo. »Nie gniewaj się, nie gniewaj, — tłómaczył się przedemną Nielubin — on przyzwyczajony do tego!«

Przyszła wiosna! Martwe stepy zrzucały powoli skorupę lodowatą i zaczynały się budzić do życia. Kajdany, którem był skuty przez długich kilka miesięcy wreszcie pękły: polały się po nim strumienie siły — łzy radości z ócz odzyskującego swobodę. Step zmiękł w uściskach ciepłych wiosny. Tęsknota jakaś częściej nas ogarniała, — nie bardzo mieliśmy czem bronić się od jej szponów.

Piotr Piotrowicz, widział nasze znękanie i osowiałość taką — zwiększał więc swą troskę o nas i rozmaitych sposobów używał, by nas rozerwać i rozweselić.

Ciągle wyciągał mnie na polowanie: »Nie pijesz wódki — argumentował zwykle — to rób przynajmniej coś takiego, ażeby się zużyć; porzuć, do licha, książki i chodź ze mną w step nad Ural, będziemy płoszyć dzikie ptactwo«. — W istocie płoszyliśmy je najczęściej, nie czyniąc mu krzywdy. Wałęsaliśmy się całemi godzinami po bezmiarach stepowych, leżeliśmy w bezwładzie, w wonnych trawach, nad brzegami jeziór, rozrzuconych gęsto po stepie, — strzelaliśmy rzadko. Czasami jednak wściekłość jakaś ogarniała Piotra Piotrowicza: wówczas instynkt zniszczenia budził się w nim z niezwykłą siłą.

Dawał strzał po strzale, gonił zawzięcie zwierzynę, zapalał się, brodził po pas w wodzie, — widocznem było, że się chciał gwałtownym ruchem zniszczyć i okiełzać.

Niekiedy i mnie podobne przenikało usposobienie: robiłem więc to, co i on. Piotr Piotrowicz popatrywał na mnie wówczas z ukosa, z wyrazem niewymownej troskliwości i szeptał do siebie: »Dobrze, dobrze! — ja mam wódkę przynajmniej, a ty i tego nie masz«.

Z przyjściem wiosny, zwiększyły się zajęcia Piotra Piotrowicza: częściej trzeba było młodzież kozacką musztrować w stepie, bo wkrótce miano ją do pułków rozsyłać. Towarzyszyłem p. P. i w tych jego wycieczkach w step. Wracając z musztry, jechaliśmy zwykle, obok siebie, na przodzie setni; kozacy śpiewali, — a i my także nuciliśmy coś sobie z cicha. Śpiewałem często pieśń Bohdana: »Smutno, ach! tęskno bracia za Dunajem«. — Przenosił tę pieśń nad wszystkie inne, jakie mu kiedykolwiek śpiewałem.

Gdyśmy raz tak wracali do stanicy, setnie na dany znak do śpiewu zawyła dziką pieśń, z czasów Ostrołęki i Grochowa (kozacy orenburyscy brali udział w tych bitwach, której każda zwrotka kończyła się wyrazami:

Chociaż wy Lachy, dzielni jesteście,
Musicie jednak nam się poddać!

Jeszcze nie zdążyła setnia ust otworzyć, dla powtórzenia refrain'u, gdy Nielubin zawrócił gwałtownie konia, skoczył, jak pantera, do frontu i podleciawszy do przodownika chóru, wrzasnął mu straszliwym głosem:

»Mołczat'! sobacze syny«. — Kozacy zdumieni nie wiedzieli, co to ma znaczyć? — nigdy bowiem z ust swego pod-essauły podobnego zakazu nie słyszeli.

Ja jeden wiedziałem, co to ma znaczyć. To Piotr Piotrowicz — tak swoją subtelność uczuć wyrażał.

Po tym gwałtownym wybuchu, gdy już był przyszedł do siebie, podjechał do mnie znowu p. Piotrowicz i rzekł półgłosem: »Ty się im nie dziw, to bydło przez innych wyuczone; oni to od dzieciństwa śpiewają; im się zdaje, że i oni byli pod Ostrilienką«.

Gieroi! — dodał pogardliwie.

Takim był Piotr Piotrowicz.

Wiosna się skończyła! W połowie lipca miały setnie młodych kozaków wyruszać do pułków: — jedne do Turkiestanu, inne — do Warszawy, Czarnego Ostrowa etc. — Piotr Piotrowicz spodziewał się, że go poszlą do Warszawy — w turkiestańskich bowiem pułkach już bywał i od tego, byli młodsi oficerowie. Marzył wciąż o tem i rzewnie do nas mówił:

— Nu, cóż ty powiesz, Władysławie Julijanowski, jak ja twoją Warszawę zobaczę? ha? — znowu pożyjemy ślicznie: ot, tak jak teraz. Ty, ja, Witold Stanisławowicz, a może jeszcze jaki z waszych, będziemy siedzieć, tak jak teraz za samowarem i pić czaj... i spiewać... i o polityce mówić... ot, będzie życie!... nie daj Bóg... w głosie jego czuć było wzruszenie i łzy!

W parę dni przyszły z Orenburga rozporządzenia od Nakaźnego Atamana. Pobiegłem czemprędzej do Piotra Piotrowicza, by się dowiedzieć dokąd go przeznaczono. Zastałem go wśród przygotowań do drogi; był jakiś złamany, nie klął i nie spluwał, chodził tylko, jak automat, i składał na kupę, wszelkie rekwizyta kozackie. »Masz czytaj« — odezwał się odrazu do mnie — podając mi papier rządowy. Odczytałem prawie głośno: »pod-essauła Nielubin poprowadzi do Margelanu Fergańskiej obłasti, setnię kozaków młodych« etc. etc. dalej czytać nie mogłem, głos mi uwiązł w gardle... W papierze wprawdzie nie było motywów niełaski, z tonu jednak i samej nominacji, domyśleć się można było, że podejrzewano Piotra Piotrowicza o nieprawomyślność, słowem że sobie zaszkodził, świadcząc nam przyjaźń.

Nie wiedziałem, jak przemówić do Nielubina — stałem znękany z głową na dół spuszczoną i.. milczałem.

— Nie mieli młodszych, psy parszywe! — odezwał się wreszcie Nielubin.

— »Ja tam już bywał jeszcze ze Skobelewem« — dodał:

— »Ale nie myśl tylko, że to za Was« — dodał nagle, jakby odgadując mój skrupuł i zakłopotanie.

— Nie! — wiadomo: *drjań**) *imperia*... i koniec...

Tem ostatniem zdaniem wyraził Nielubin cały swój krytycyzm, całą swoją gorycz i żal, wreszcie całą swoją beznadziejność i niemoc, wobec tego, co wisiało wciąż nad nim, jak nahajka kirgizka nad jego łóżkiem...

W parę dni po tem, ruszyło kozactwo przez stepy...

Odprowadziliśmy Piotra Piotrowicza. Gdy już trzeba było wracać do osady, zeskoczyliśmy z koni, uściskaliśmy odjeżdżającego, jak brata, dziękując mu za jego dobroć i serce... On nic nam nie odpowiadał, ściskał tylko każdego z nas po kolei, mocno i wciąż powtarzał.

»Eh, drjań, drjań imperia«.

W końcu westchnął ciężko i rzekł: »Nu, daj Wam Bóg, prędko do Matki-Ojczyzny powrócić i w zdrowiu dobrem znaleść wszystkich«... więcej nie mógł mówić. Złamał się na siodle po kozacku, przylgnął do końskiej szyji i, jak strzała, pomknął z miejsca w kierunku oddalającej się wciąż setni...

Zastękał step...

Staliśmy na wzgórku przeprowadzając wzrokiem pędzącego, jak orkan stepowy, Piotra Piotrowicza.

Nagle jeździec wyrzucił w górę popachę, z niebieskiem denkiem i złapał ją w powietrzu, później cisnął ją przed siebie na ziemię i podniósł w biegu, potem zrobił to samo z szablą, — zeskoczył w całym pędzie z konia i wskoczył na niego, jak jaguar!.. wreszcie jeszcze raz wyrzucił w górę popachę i krzyknął straszliwie rozdzierająco.... To Piotr Piotrowicz, tak żegnał nas po

---

*) Drjań — podłe — nikczemne.

raz ostatni... jeździec dopadł do setni i uniósł ją po stepie... rozhukany, wściekły.

Krzaczki nikłej brzeziny zakryły nam niebawem wszystkich jeźdzców.

W parę tygdni, po wymarszu p. Piotrowiwicza z setnią i myśmy ruszyli przez stepy... Szelest traw olbrzymich, każdy powiew wiatru, hulającego po stepie, niósł nam przypomnienie tej czystej, tragicznej duszy spotkanej na dzikiej rubieży dwóch światów.

W. J. Van Gryef.

Z JAWORYNY.

Krynicki „deptak“ zyskał nową osobliwość w osobie młodego, wcale przystojnego jegomościa, który codziennie rano siedział na jakiejkolwiek ławce i ziewał tak szczerze, tak często, że tem ziewaniem zwrócił na siebie uwagę kuracjuszów. Zblakły przy nim cztery rabinówny w gronostajowych pelerynach i młodzieniec w białem flanelowem odzieniu i w białym kapeluszu, przy nim zapomniano nawet o cudzie przyrody ubranym w cudach pierwszorzędnych modystek i krawców. Nieznajomy zakrywając usta ręką ziewał, potem znikał w gmachu kąpielowym i tyle go widziano. Gdzie mieszkał, jak resztę dnia spędzał, zkąd przyjechał? Jakie stanowisko społeczne zajmował? Czy warto było narzucić mu się z przedstawieniem: Jestem X. X. czy też należało go zostawić jak dotąd na pastwę ziewaniu i własnemu towarzystwu?

Ponieważ pobyt u wód ogromnie rozwija w człowieku zarodki plotkarstwa, ciekawości, zdolności do śledzenia każdego szczegółu i podnoszenia go do którejś tam potęgi czem znudzony, czy wiecznie niewyspany młodzieniec wywołał nieskończoną ilość gawęd, opartych na braku dowodów i sprzecznych wiadomości. Gawędy ludzkie tak mi obrzydziły nieznajomego, że mu życzyłem prędkiego wyjazdu, a zaś moja kuzynka Bronia utrzymywała, że „ziewacz“ może zostać, bo wcale sympatycznie wygląda, tylko trzeba, by jakie nowe dziwo zastąpiło go w oczach publiczności. Właściwie czego oni a szczególniej one chciały od niego. W czem im przeszkadzał? Jaką przyjemność sprawiało im powtarzanie jednego w kółko?

Pewnego dnia postanowiłyśmy z Bronią pojechać we dnie, tylko we dnie na Jaworynę, z której podobno cały świat gór widać, a za te pół dnia stracimy z oczów „deptak“ jego publiczność, z uszu plotki o ziewaczu i szwargot synów Izraela w chałatach.

Żeby tylko nie spotkać nikogo. Za ostatnim domem Krynicy czekał na nas z wózkiem zamówiony góral, Jakób Wrona. Ledwie usiadłyśmy na wózku, dwa gniade wałkowate koniki ruszyły drobnym kłusem i pędziły bez upamiętania czy to pod górę, czy z góry, czy po równinie jak nakręcone automaty; parskało to wesoło, podrzucało grzywą a leciało. Farysy — nie konie.

Wiatr szumiał koło uszu, królewskie powietrze gór wpadało do płuc, orzeźwiając cały organizm i budząc w duszy jakieś bezprzedmiotowe uradowanie. Spojrzałem na Bronię. Jej ciemne oczy błyszczały, wyciągnęła naprzód ręce i bezwiednym może uśmiechem na rozchylonych ustach szepnęła:

— Jak dobrze!

Wzdłuż drogi rosły gęsto krzaki bujne, ciemną zielenią pokryte. Nagle wyjechaliśmy na rozległą łąkę górską.

— Ot Jaworyna! oznajmił Wrona, zwracając się ku nam. — O podobają się wam nasze góry! — dodał widząc rozpromienioną twarz mojej kuzynki.

— Patrz, patrz! zawołała Bronia.

— Co takiego? Jaworyna? Wcale nie pokażnie ztąd wygląda.

— Bo! Nasz ziewacz sadzi przed nami, o tam z boku.

Prawda! Nieznajomy szedł wielkim, równym krokiem; na nasz wózek nie spojrzał, choć bez wątpienia turkot usłyszał.

— Może głuchy? — zauważyła Bronia.

— Tu — odezwał się Wrona, batem wskazując na ziewacza — prędzej od nas dojdzie... Krótszą drogą idzie.

Może go spotkamy jeszcze, rzekła zaciekawiona Bronia.

Nie omylił się Wrona. Gdy dojechaliśmy do miejsca, zkąd już trzeba było piechotą dążyć na wierzchołek, ujrzałyśmy na nim małą ludzką sylwetkę.

— A prędko wrócicie? — wołał za nami Wrona.

— Czy ja wiem? Za pół godziny, za pół dnia, za pół tygodnia! — zdecydowała Bronia.

— Oh! — zaśmiał się Wrona, — to czemuście nie powiedzieli wcześniej, byłbym sobie choć jedzenia wziął z domu.

— To wracajcie po jedzenie.

— A was by tu może jaki zwierz tymczasem zjadł.

Stok góry wydawał się gładki, jakby strzyżoną trawą pokryty; rosły na nim, krzak przy krzaku, czarne jagody; ani jednej innej rośliny nie było widać wśród gęstych lakierowanych listków. Drobne łodygi uginały się pod nogami, co utrudniało drogę, to też byłyśmy

porządnie zmęczone, gdy stanęłyśmy nareszcie na płaskim wierzchołku i zamiast rozejrzeć się w koło, przedewszystkiem przypadłyśmy pod kępę sporych krzaków dla odpoczynku.

— Już nie żyję! — wołała Bronia leżąc koło mnie z zamkniętemi oczami.

— Jaka szkoda, że nie wzięłyśmy z sobą koniaku! — westchnęła po chwili.

— Otwórz no oczy — odezwałam się — a zapomnisz o koniaku.

— Zaraz! Jeszcze nie mogę.

Jakiś szelest dał się słyszeć z drugiej strony kępy.

Podniosłyśmy się obydwie i jednocześnie ujrzałyśmy nieznajomego, nadchodzącego z flaszką w ręku.

— Przepraszam — odezwał się, przyczem złożył nam ukłon — panie podobno pragną koniaku, tak przynajmniej słyszałem, leżąc z drugiej strony kępy. Ponieważ mam przy sobie flaszkę Martel'a, może panie raczą go skosztować.

— Dziękujemy panu — odezwałam się — ja nie mogę korzystać z pana dobroci, bo nigdy koniaku nie pijam.

— Więc może pani! — zwrócił się do Broni.

Ruchy jego i ton mowy były tak spokojne a zarazem swobodne, jak gdyby czuł się gospodarzem Jaworyny przywykłym do częstowania zmęczonych gości.

— Jest i kieliszek — mówił znowu — czysty, lecz dla dokładności, może zechce go pani przetrzeć tym liściem. Podawał jej szklany kubeczek, wyjęty ze skórzanego puzderka.

— Skoro jest czysty, szkoda liścia — rzekła Bronia.

Nieznajomy napełnił kieliszek złotawym płynem i wylał go na trawę.

— Czy to ofiara bogom złożona?

Uśmiechnął się, nalewając powtórnie.

— Jeżeli panie są boginiami...

— O co to, to nie! — zaprotestowałam — to pan jest prędzej jakim miejscowym bożkiem...

— O ile wiem, nie wspomina o mnie żadna mitologja.

Bronia tymczasem stanęła, spojrzała w koło i w jednej chwili szczery zachwyt wybił się na jej twarzy.

— Nareszcie! Nareszcie! — zawołała.

— Co nareszcie? — zapytał żywo.

— Tylko góry widzę koło siebie. Dawno już marzyłam o takim widoku. Skąd ich się tu tyle wzięło.

Istotnie cały horyzont zapełniały wieńce gór. Tłoczyły się, wyzierały jedne z za drugich, zebrały się tu wszystkie na walny sejm. Szła od nich potęga pełna majestatu, szło wrażenie jakiegoś dramatu zastygłego w ich kształtach, tytanicznej siły w letargu, szła pamięć walki olbrzymiej.

Silne wrażenie dech nam w piersi tamowało.

— Gdyby obudziły się te góry – szepnęła Bronia, czy mogłoby im się co oprzeć?

— Na ziemi jest tyle wody — odparł nieznajomy - że starczy jej na zatopienie wszystkich gór.

Niech lepiej stoją tutaj, i dają niektórym ludziom złudzenie, że przez ich szańce nie przedrze się zło i ból.

— Nie — wołała Bronia — jest mi tu tak dobrze, że do Krynicy nie chcę wrócić. Andziu, zamieszkamy tutaj. Tu — powtarzam — nie dochodzi ból, zło.

— Minęły czasy góry Tabor, na której zresztą uczniowie Chrystusa nie zamieszkali — odezwał się nasz X.

Uciekałaby pani stąd, po tygodniu — dodał po chwili.

— Ja? Gdy zobaczyłam jak tu jest, powiedziałam „nareszcie", co znaczyło, że nareszcie znalazłam taki idealny ziemski przytułek.

— Dobrze! Niech pani kupi Jaworynę, potem wybuduje na niej dom i odpędzi stąd tych wszystkich, którzy tak jak ja, szukają tu właśnie braku domu, ludzi i wszelkich objawów murowanej i gospodarskiej cywilizacji.

— Już ja to wiem — pokiwała głową Bronia, że pan ludzi unika.

— Skądże to pani wnosi?

— W Krynicy o znajomości nie trudno, a pan zawsze sam.

— Proszę pani, jestem trochę zmęczony i przyjechałem tu dla kuracji, nie dla zawierania znajomości, które nie wiem coby mi dały. Wolę góry.

— Pan już był na Jaworynie? — zapytałam.

— Tak pani. Gdy stanąłem tu po raz pierwszy, zawołałem także: nareszcie! jak pani.

Popatrzali na siebie z Bronią, zdawali się badać oczyma.

(Dok. nast.). *Antonina Morzkowska*.

CHŁOP FILOZOF.

Niepospolite dary umysłu, niezwykły charakter i wola objawiająca się czynami na zewnątrz i to czynami całego życia, złożyły się na postać z ludu, na włościanina, w którym upatrywaćby można typ przyszłości —

jeżeli typ tego umysłu, zdolności i charakteru chłopskiego zdołał zainteresować myślicieli, profesorów i wogóle wszystkich ludzi inteligentnych, a nieprzesądnych i nie patrzących przez pryzmat doktryn, którzy mieli sposobność zbliżyć się do tego chłopa.

Takim to właśnie typem był Konrad Deubler, chłop Górnej Austrji, którego bjografję wydał profesor fizjologji uniwersytetu zurychskiego Arnold Dodel-Port. Uczony wyraźnie mówi, że włościanin ten, Konrad Deubler, był jego przyjacielem. Bjografję chłopa filozofa skreślił profesor na podstawie notat Deublera i korespondencji jego z najwybitniejszymi powagami swego czasu świata naukowego, tudzież listów, które i sam odbierał od Deublera.

Zaznaczyć trzeba na wstępie, iż chłop ten wiedziony jeno osobistem poczuciem i ciekawością, zdobył sobie był zasób wiadomości i wiedzy tak rozległy, że wobec niego rumienićby się powinni ówcześni doktrynerzy biurokracji austrjackiej z dyplomami uniwersyteckimi. Pomimo, iż pojęciami, poglądem na świat, zrozumieniem zadań życia, przewyższał o całe niebo koryfeuszów administracji państwowej, nie zapragnął atoli Deubler nigdy zmnienić pozycji społecznej i do śmierci pozostał rolnikiem, zamieszkującym chatę włościańską.

Konrad Deubler urodził się w 1814 w Hallstatt w Górnej Austrji, jako syn robotnika salinarnego. Rodzice jego posiadali własną realność i niewielki dobytek dopomógł do rozwinięcia się fizycznego ich synowi. Mieszkańcy zresztą Górnej Austrji, przeważnie zamieszkali w okolicach alpejskich, posiadali i posiadają wszystkie cechy górali, to jest zwinność, siłę i kształtną budowę ciała.

Celował w tem wszystkiem młody Konrad i do późnej starości zachował nie tylko elastyczczność członków, ale i nadzwyczajny humor, który go nigdy nie opuszał.

Jako 16 letni młodzieniec jeszcze około r. 1830 zabrał znajomość z licznymi badaczami i artystami, którzy dla studjów przybywali w góry. Deubler został ich przewodnikiem, zapuszczając się z podróżnymi w najdziksze okolice. Cały zasób jego wiedzy książkowej zasadzał się jedynie na umiejętności czytania i pisania, które było zresztą zawsze w wojnie z ortografją. Podróżujący przyrodnicy nauczyli go szukać prawdy w naturze i jej zjawiskach, i odtąd Deubler zaczyna się coraz głębiej zastanawiać i szukać nauki.

W ośmnastym roku jego życia kupili mu rodzice młyn w Brunnleiten, który niebawem jednak zamienił na inny, położony na skałach, poruszany wodą potoku górskiego, nęciła go bowiem zawsze swoboda i rozleglejsze widoki natury. Rozpoczynając samodzielne gospodarstwo, musiał się ożenić, ażeby uniknąć asenterunku i służby w wojsku. W notatkach swoich zapisał.

„Był to głupi pomysł żenić się tak wcześnie“. — „Ale dodaje pocieszając się — „mówią, że kto za młodu nie popełni głupstwa, to się go dopuści na starość“ — Małżeństwo to pozostało bezdzietne, i okoliczność ta spotęgowała w Deublerze jeszcze pragnienie nauki. „Książki są jedynymi moimi przyjaciółmi“ — pisał w swoich notatach. W pierwszych chwilach pragnienia światła czytywał wszystko bez braku, jak Zschokego: Księgi rozmyślań (pobożnych), Podróże, opisy rozmaitych części świata, pisma ludowe, romanse i poezje. Niekiedy, pomimo sprzeczki z ortografją tworzył i sam wiersze. Że był obdarzony niezwykłem poczuciem piękna, świadczy notatka, którą skreślił w swoim dzienniku dnia 15. lipca 1838 r.

„Byłem na szczycie Dachsteinu, na lodowcu Karola. Ogromny to widok! Ale nie poruszył wcale dwóch obcych, dwie jakieś zasuszone, drewniane dusze urzędników z Wiednia“.

Ten chłop entuzjazmujący się naturą, nie był atoli sentymentalnym marzycielem, był owszem zawsze miłym i wesołym towarzyszem a chłopski jego dowcip znęcał się nad wszystkiem, co było komedję lub frazesem. Pomimo, że był pilnym czytelnikiem i rozmyślał wiele, pracował atoli aż »żebra trzeszczały«, Sam musiał w braku zwierzęcia jucznego dźwigać po skałach na górę ciężkie wory ze zbożem do młyna.

Wśród ciężkiej pracy ocknęło się w młodym człowieku niebawem nowe pragnienie świeżych i odmiennych wrażeń. Odbył już raz pieszo wędrówkę do Wiednia i Kremsmünster, obecnie zaś zachciało mu się zobaczyć morze własnemi oczyma, zobaczyć Tryest i piękną Wenecję Jakoż nie zmieniając odzienia, to jest krótkiego spencera, w skórzanych spodniach po kolana, zielonych pończochach, w kapeluszu strzeleckim i z małym tobołkiem na plecach, z laską w ręku, wybrał się znowu w drogę. — Żona nie bardzo rada była tej podróży 26-letniego małżonka. Młody młynarz atoli, pomimo, iż żal mu było jego Eleonory, ucałował ją serdecznie i radził, ażeby na zapłakane oczy przyłożyła świeżo roztarte ziemniaki.

Poszedł na Graz i dalej ciągle pieszo aż do starego grodu Dożów, który go zachwycił. Ale równocześnie z widokiem morza, z widokami coraz nowych okolic, budzą się w jego duszy wątpliwości religijne, napadają go myśli filozoficzne. Uczuł też nagle tęsknotę za stronami rodzinnemi, za górami i powrócił prędzej, niż myślał. W kilka lat potem zwiedzał strony północne, stuwieżową Pragę i piękne Drezno. Równocześnie zaczął studjować w przekładach niemieckich greckich klasyków i filozofów. Zabrał znajomość z kilku malarzami i badaczami. Głębokie uczucie religijne uległo zmianie, został rozumującym panteistą.

Nieskrępowany przez nikogo, wybierał dzieła, które budziły jego zajęcie. Zaczął czytać nawet utwory przeznaczone tylko dla teologów. Studjował bardzo gorliwie Straussa »Życie Jezusa«. Krytyczne poglądy w tem dziele niezmiernie go zajęły, ale styl uczony i mnóstwo wyrazów obcych utrudniły mu zrozumienie dzieła. W przekonaniu atoli, że dociekanie prawdy nie jest tylko przywilejem wybranych, ale że i lud do tego ma prawo, bo ma prawo oświecić się i nauczyć, czego nie umie, zdobył się na odwagę i mimo braku wprawy, napisał do Dawida Straussa list. Zapytywał w swym liście, dlaczego uczony nie uwzględnia ludu prostego i dzieła swoje tak pisze, że człowiek prosty nie może ich zrozumieć. Prosił w końcu, żeby Strauss w przyszłości inaczej pisał swoje rozprawy.

Głośnego filozofa zastanowiło to żądanie, przedstawione w formie nieuczonej, ale szczerej i serdecznej prośby o pouczenie człowieka, który samoistnie poczuł potrzebę poznania prawdy. Struass odpowiedział bardzo uprzejmie, że nie przypuszczał, ażeby lud interesował się takiemi zagadnieniami i dlatego miał pewne skrupuły co do rozpowszechnienia książki pomiędzy ludem; prawdopodobnie zresztą byłaby się jego książka spotkała z zakazem z góry, skoroby ją był napisał popularnie.

Deubler dojrzewał coraz wybitniej, jako człowiek wolnomyślny. Po 40 roku życia umiał zdobywać nawet zakazane w Austrji książki szkoły materjalistów i nowego kierunku przyrodniczo filozoficznego. Najsilniejsze wrażenie sprawiło na Deublerze dzieło Feuerbacha: »O śmierci i nieśmiertelności«. — Zwróciło go ono na drogę prostego i zdrowego rozsądku. Oświeciwszy się sam, zapragnął oświaty i dla innych. Założył w Hallstatt czytelnię, zaabonował czasopisma i sprowadzał dzieła, które były jego ulubionymi, propagując oświatę, a nareszcie i wolnomyślne teorje polityczne. W roku 1848 był w Wiedniu, zkąd atoli po smutnym obrocie rewolucji powrócił nieco zgnębiony.

W roku 1849 kupił gospodę w Goizern i nazwał ją nieco pretensjonalnie »Wartburgiem«. Gospoda ta zamieniła się niebawem w ognisko życia towarzyskiego całej okolicy. Duchowieństwo zaczęło podnosić głośne skargi, że »kościoły próżne, bo w gospodzie miał Deubler zawsze coś do mówienia tak interesującego, że ciekawość zagarniała wszystkich«.

Krótko atoli trwała wiosna wolności. Reakcja kroczyła brutalnie z wszystkimi następstwami, jak stany wyjątkowe, przesądy, fanatyzm, podłość i znikczemnienie. W takich miłych okresach dość niekiedy niewinnej wzmianki, ażeby zwrócić baczność kretów policyjnych. Toż się przytrafiło i Deublerowi z powodu wzmianki o nim przez Saphira, który lubo nie miał zapewne złej myśli, źle się atoli przysłużył Deublerowi. Oto Saphir w piśmie *Humorist* przedstawił w artykule fejletonowym właściciela gospody w Goizern. Artykuł ten zwrócił uwagę, czytano go wszędzie a także i na dworze cesarskim. Mówiono zaś wtedy tak, jak myślał Metternich — to jest mniej więcej temi słowy: »Jeżeli oświata i wykształcenie już nawet pomiędzy chłopami zaczyna się szerzyć, to niebezpieczeństwo jest wielkie i należy je dokładnie zbadać«.

(Dok. nast.)

Rozbiory i sprawozdania.

Seweryn Goszczyński. Skreśliła Marja Wysłouchowa. Lwów. 1896 r.

Dziełko pod powyżej wymienionym tytułem rozpoczyna wydawnictwo imienia ś. p. Kasyldy Kulikowskiej, przezacnej Polki-patrjotki, która pracowała jako nauczycielka w Królestwie Polskiem, życie swe poświęciła ideałom ojczystym, a ciężką pracą zebrany fundusz oddała na cele narodowe Nie podając oceny książeczki, ograniczamy się w tem miejscu na przytoczeniu tytułu rozdziałów, składających się na jej treść: *I. Młodzieńcze lata, — Piosenki. II. Rzut oka na sprawy krajowe. — Goszczyński w Warszawie. III. Powrót na Ukrainę. — Pieśni swobody. — Zamek Kaniowski. — IV. „Związek wojskowych". — Goszczyński bierze udział w przygotowaniach do powstania z r. 1830. — V. Noc 29. Listopada. VI. Bojowe pieśni. VII. W Galicji, — Tajne związki. — Apostolstwo wśród Ludu. VIII. Sobótka. IX. Prześladowania. X. Na obczyźnie. — „Król Zamczyska". — „Straszny Strzelec". XI. Powrót do kraju. — Ostatnie chwile.*

Wydawnictwo, którego zewnętrzna szata przedstawia się nader pokaźnie dla oka, zdobią dwa rysunki ołówka A. Pająkównej: pierwszy z nich jest kopją z portretu Rejchana i przedstawia pootę-bohatera w całym blasku męskiej piękności i siły — drugi, z natury rysowany, daje wizerunek pomnika, wznoszącego się na cmentarzu Łyczakowskim. Cena dziełka, obejmującego przeszło 6 arkuszy druku in 8^0 wynosi 20 ct.

Wiadomości bibljograficzne.

Encyklopedja ilustrowana wiadomości pożytecznych. Nakładem Michała Arcta w Warszawie 1896. Zeszyt 8.

Dygasiński Adolf. As. Powieść. Warszawa 1896. Str. 2 2.

Junosza Klemens. Z papierów po nieboszczyku czwartym. Obrazek. Warszawa 1896. Str. 168.

Szaniawska Karolina. Teatr dla dzieci. Sześć komedyjek jednoaktowych przez... Warszawa 1896. Str. 236.

Z drukarni Z. Gołoba we Lwowie.